



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci
Z DODATKIEM POWIEŚCIOWYM.



Zorza północna.

ZORZA PÓLNOCNA.

Podajemy dziś rycinę jednego z najpiękniejszych zjawisk natury, którego podziwianie danem jest mieszkańcom sfer podbiegunowych i śmiałym podróżnikom, co je zwiedzają. Zdarza się niekiedy, że blask jego ognisty dosięga stron o klimacie umiarkowanym, a kto raz go widział, jak piszący te słowa, dzieckiem jeszcze 23 stycznia 1870 r. w Warszawie, ten owego widoku nigdy nie zapomni.

Nauka dotąd nie wyjaśniła przyczyn istoty zorzy północnej czyli biegunowej, (bo widywana jest także na półkuli południowej), przypuszczają jednak, że to zjawisko ma związek z magnetyzmem ziemi i elektrycznością, gdyż w czasie jej trwania igły magnesowe wykonywają niespokojne ruchy, a druty telegraficzne są tak silnie naelektryzowane, że przesyłanie depesz staje się niemożliwe. Może wynalezienie świetlnego metalu radu przez naszą rodaczkę p. Curie z Skłodowskich przyczyni się do rzucenia nowego światła na to zjawisko, w którym to tajemnicze ciało prawdopodobnie, gra jakąś rolę.

Zamiast opisywać zorzę północną zwykłemi słowy, wolimy zamieścić malowniczy jej obraz, skreślony natchnionem piórem Deotymy, w poemacie „Noc zimowa.”

— U stóp horyzontu biały,
Dalej żółty, czerwony,
Coraz wyżej strumień krwawy
Posuwa światła nawały...
Każda gwiazda blednie, znika...
Blask nadbiega stopą rączą,
Płomyk leci do płomyka,
I w pół — zawoje się łączą...
W końcu, obłok się odmyka!
Strasznym, wspaniałym pożarem
W przestrzeń błękitną wybucha!
Z ciemnic nocnych, z chmur bezdroża,
Naksztalt czarownego ducha,
Z ogniów tęczywanych sztandarem
Zjawia się północna zorza!...
— Różnobarwne kładzie wianki,
Wśród eterycznego morza
Pływa na ognistej łodzi...
Przez gorejące krużganki
Łuki tryumfu przechodzi!...
Z tegoż nikłego obłoku,
Co nie śmiał drżąc wzniesić głowy,
Ogień rzuca się w potoku!
To jak wachlarz brylantowy,
To jak jakiś motyl wielki,
To jakby stalaktyt łzawy,
To jak złociste kropelki,
To jak wrzący strumień lawy,
To jak z rubinów kaskada,
Płomień wznosi się i spada!...
— Już sieć siarczysta się spleta;
Nad arkadą mknie arkada,
A nad łukiem strzała wzłata!...
— Wkrótce jak róże w rozkwicie,
Płomienie niebo ogarną;
Tylko na samym zenicie
Noc wciąż trzyma tarczę czarną...



POD MIKROSKOPEM.

WIECZORY U MEGO PRZYJACIELA.

Nie byłem jeszcze w szkołach w Warszawie, gdy do browaru ojca mego przyjechał p. S. Odrazu polubiliśmy go wszyscy, a ja pokochałem go po prostu. Dlaczego? Sam nie wiem. Pociągnęła mnie do niego łagodna powierzchowność, z wyrazem ogromnego spokoju i dobroci.

Największą dla mnie przyjemnością było pójść do browaru; przypominam sobie, że nudziłem pana S. niemiłosiernie, dopytując się o przeróżne maszyny, koła, pasy, które zajmowały mię ogromnie, a on odpowiadał mi zawsze z jednakową cierpliwością, ze spokojem i dobrocią nieporównaną tłumaczył wszystko, co wzbudzało moją ciekawość, a w końcu, dotykając mego ramienia, pytał swym miłym, dzwięcznym głosem:

„Rozumiesz, mój przyjacielu?”

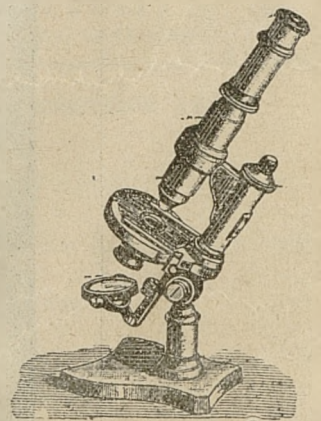
To pytanie zachwyciło mię! Ja przyjacielem takiego dorosłego, rozumnego człowieka!

Najszcześliwszem się czułem, gdy pan S. brał mię do swego mieszkania; miał na górze, w browarze dwa pokoiki, tak miłe i przytulne, że wszedłszy do nich doznawałem uczucia jakiegoś ogromnego bezpieczeństwa i wyjść mi się stamtąd nie chciało. Meble były proste: pod ścianą otomana, przed nią stół czarny, założony rozmaitemi albumami i książkami — oglądaniem przeze mnie niezliczoną ilość razy. Naprzeciwko duża szafa oszklona, od góry do dołu napełniona książkami rozmaitej wielkości i grubości. Pod oknem stało duże biurko, a przy niem stolicek, zastawiony butelczkami, rurkami szklanymi, przeróżnymi przyrządami, o których nie wiedziałem do czego służą i jak się nazywają. W drugim końcu pokoju, naprzeciwko kominka stały dwa wielkie fotele bujające; często, szarą godziną, p. S. zapalał ogień na kominie, siadał na jednym fotelu, ja zabierałem miejsce na drugim i tak, patrząc w jasne płomienie, rozmawialiśmy o różnych ciekawych rzeczach, o odległych krajach, ludziach, którzy tam mieszkają, dziwnych zwierzętach i roślinach. A gdy ogień dogasał, pan S. zapalał lampę, wyjmował z szafy książki i pokazywał mi w nich to, o czem mówiliśmy.

Co mnie jednak najbardziej zaciekawiało, to ów stolicek zastawiony butelczkami, te nieznanne narzędzia i przyrządy — a mianowicie jeden z nich, pan S. powiedział mi, że nazywa się mikroskopem, a służy do oglądania przedmiotów tak drobniutkich, że ich gołem okiem dojrzeć niepodobna. Była to długa rurka, na stojącej podstawie, u góry i u dołu zakończona szklami.

Obejrzeć go zblizka, zapoznać się z nim — było to moje marzenie! Często bardzo zastawałem pana S. siedzącego przy stoliku, pochylonego nad mikroskopem, ale gdym wchodził, on podnosił się zawsze, odsuwał tajemniczy przyrząd i zaczynał inną jakąś rozmowę.

Jednego razu wreszcie zebrałem odwagę:— ja tak



pragnąłbym zobaczyć mikroskop” zacząłem po przywitaniu się z mym przyjacielem.

— Mikroskop? Takiś ciekawy? nie pora ci jeszcze na niego — odpowiedział mi pan S. uśmiechając się swoim łagodnym, spokojnym uśmiechem.

— Nie pora! dlaczego? Ja rozumiem wszystko, co mi pan powie i zapamiętam z pewnością — mówiłem drżącym głosem

Pan S. wziął mnie za rękę:

— Słuchaj — zaczął poważnie, za kilka miesięcy pójdziesz do szkół, musisz się więc uczyć teraz wielu, wielu rzeczy, które ci są potrzebne do zdania egzaminu, to pierwszy twój obowiązek.

— Tak — wyjąkałem.

— Widzisz, teraz celem twoim jest zdać egzamin do gimnazjum, mikroskop ci w tem nie pomoże; przeciwnie przeszkodzi, bo zmęczysz myśl i pamięć, słuchając moich objaśnień i trudniej ci będzie uczyć się lekcji.

Więc mi pan nie pokaże mikroskopu?

— Pokażę Karolku, tylko nie dzisiaj, ani jutro, pokażę ci go na rok przysły, gdy przyjedziesz do domu na święta Bożego Narodzenia, dobrze?

Cóż było robić? Mój przyjaciel mówił łagodnie, ale tak stanowczo; nie umiałem mu się sprzeciwić, zwłaszcza, że chcąc mi nagrodzić odmowę dodał:

— Wówczas będziemy razem pracowali nad mikroskopem, jak przystało na prawdziwych przyjaciół!—

Rzuciłem mu się na szyję i zaczęliśmy rozmowę o książce, którą dostałem od niego na imienniny. Od tego czasu pan S. nigdy nie zostawiał mikroskopu na stole, chował go widać do szafki, zapewne dlatego, aby widok upragnionego przyrządu nie sprawiał mi przykrości.

* * *

Poszedłem do szkół; czas przy pracy schodził szybko, urozmaicony urokiem nowości i życia koleżeńkiego, tak, że ani spostrzeżliśmy się, jak wręczono nam cenzury kwartalne i zwolniono do domów na święta. Z jaką radością jechałem na te pierwsze wakacje! Na stacyi czekały konie i służący.

— Państwo zdrowi? — zapytałem.

— Zdrowi, panicu.

— A pan S.?

— Zdrów także.

Wskoczyłem do sanek i ruszyliśmy.

W sieni, gdy przyjechałem do domu stali rodzice, a za nimi — pan S.—Zacny, pocciwy, przyszedł, aby mię prędzej zobaczyć. Cały ten wieczór zeszedł nam na ożywionej rozmowie. Gawędziliśmy dość długo, aż zegar, bijąc 11-ą, wezwał nas do spoczynku. Pan S. na dobranoc szepnął: — Jutro wieczorem czekam cię, Karolku. —

Naturalnie domyślacie się, że był posłuszny wezwaniu.

M. L.

PSIE POLE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY

przez

Włodzimierza Trąmpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Sumiastego wesa szarpał w gniewie, pięście zaciskał, a wyglądał tak groźnie, że Natan przeląkł się, patrząc na tę postać człowieka starszego, który czasami, zdawało się, giął się już pod brzemieniem lat

swoich. Juda zaczął przeto uspakajać Maćka, przekładał, mówił dużo, nie zważając już nawet, czy kto nie podsluchuje, zdolał też wreszcie wymową swoją tyle dokonać, że rycerz z Mielżyna złagodniał i tylko z żalem mówił o Mazurach, którzy zamiast złączyć się pod jednym berłem i żyć w zgodzie, ciągle jeszcze marzą o pozbyciu się zależności od władzy Polan.

Czułe ucho Natana posłyszało w oddali jakiś ruch, skrzyp skobla we drzwiach, przyskoczył do siedzącego na ławie i chmurnie spoglądającego przed siebie Maćka:

— Idą — zawołał — nie trzeba teraz nic dać poznać po sobie. Niechaj się wasza miłość tak zachowa, jak gdyby nic nie zaszło od północy do poranka.

— Bądź spokojny, potrafię jeszcze zapanować nad sobą — odparł Maćko i jakgdyby na potwierdzenie tych słów, powstał z ławy i postąpił kilka kroków na powitanie gości.

Na przybyściach znać było znużenie, ociężałe też przywlekli się do ław i skwapliwie zasiedli przy stole, gdy Maćko zachęcać począł do spożycia śniadania. Wczorajszy humor znikł gdzieś u Jarosza, zgarbił się, postarzał i wyglądał zgoła inaczej, chociaż świeża odzież powinna była wpłynąć na rozweselenie oblicza.

— Okrutnie pomęczeni jesteśmy — rozpoczął Jarosz, sięgając po misę z wonną polewką — gdyby też można odpocząć bodaj ze dwa dni, śmieiej puścilibyśmy się w drogę.

— Więc odpocznijcie — zawołał Maćko — Natan, choć Juda, ugości was chętnie w swoim domu.

Kupiec aż z nogi na nogę począł przestępować i z wyrzutem spojrzął na rycerza z Mielżyna. Jaktó? On miałby gościć u siebie Zbigniewa, jego dom miałby służyć za miejsce schadzek dla spiskowców. Toć Sieciech z ziemią zrównałby cały jego dobytek, ba! Gostyni nawet, Świętą Górę zburzyłby za karę, gdyby się o tem dowiedział.

Maćka rozweselił ten strach, który się odmalował na obliczu Judy, więc też dodał, zwracając się do Natana:

— Prawda, że chętnie dasz gościnę?

— Jeżeli... jeżeli będzie potrzeba — bąknął kupiec bardzo niewyraźnie.

— Dziękujemy wam z całego serca — przerwał Jarosz, aliści nie możemy z tego korzystać, śpieszy nam się, bardzo śpieszy.

— Dokąd? — zawołał Maćko i wlepił wzrok w mówiącego. — Chyba do Borku?...

Jarosz łyżkę, którą niósł właśnie do ust, upuścił nagle, ręka mu zdrząła, a oczy zatrzymał na obliczu mówiącego, kiedy jednakże spostrzegł, że rycerz z Mielżyna ma twarz wypogodzoną i tylko lekki uśmiech błąka się po ustach, nabrał nieco spokoju, schylił się pod ławę i szukać począł łyżki skwapliwie.

— Cóż was tak przeraziło, mój Jaroszu? — ciągnął Maćko nielitościwie. — Czyżby samo wypomnienie osady, która tu w pobliżu naszym się rozciąga, nasuwało wam jakie porównania z rodzinnymi stronami waszemi?

Słowa te zupełnie już kojąco oddziaływały na przewodnika Mazowszan, odparł też prawie wesoło.

— Nie słyszałem ci ja nigdy u nas o żadnym Borku, znam jeno przeróżne prawdziwe „bory” a „lasy” i stąd „Borowa” i „Zalesia”, aliści podobnej nazwy nie słyszałem nigdy, jako żywo.

— To dziwne — mruknął Maćko i porozumiał się wzrokiem z Natanem.

Juda, jak każdy człowiek jego nacyi, należał do tych ludzi bystrych, którzy umieją czytać z oczu, rozumiał też to, czego nie pojałyby na jego miejscu

nikt równie łatwo. W spojrzeniu rycerza z Mielżyna przebijał rozkaz, więc też kupiec odsunął się zrazu trochę na bok, później przez krótką chwilę kołował według stołu i ław, a w końcu oddał się zwolna i niepostrzeżenie.

Znalazłszy się poza załomem muru, Juda wyprostował się szybko i rączy, młodzieńczym niemal krokiem podążył w stronę zabudowań, a wywoławszy najstarszego powiernika, dawał mu z ożywieniem krótkie, jasne polecenia.

Maćko, jak gdyby nie zauważył wcale zniknięcia Natana, prowadził dalej ożywioną gawędę z Jaroszem i jego towarzyszami, ale nie potrącił już ani o Borek, ani o Radonia i tylko rozповідаł o łowach i urodzajności ziemi wielkopolskiej, o stawach i jeziorach, o trudach, jakie pociąga za sobą życie w ciągłej obawie przed łupieżstwem zaboreznych sąsiadów.

Jarosz słuchał uważnie, dumiał, wtrącał nawet słowo tędy i owędy, ale widocznie radby był rozmowę na inne sprowadzić tory. Coś mu najwyraźniej ciążyło na sercu, chciał coś powiedzieć, ale lękał się, nie czując jeszcze silnego gruntu pod nogami. A Maćko mówił i mówił, ani chwili nie ustawał, jak gdyby pragnął nie dopuścić, ażeby przedwcześnie padł wyraz niepotrzebny. Pomimo to zdołał w końcu Jarosza wtrącić uwagę:

— Wszędzie źle, panie bracie, u nas zaś gorzej, aniżeli gdzieindziej. Jako naród pobity, my na Mazowszu ciężej jeszcze czujemy na barkach swoich mściwą rękę niecnego Sieciecha. Do was on nie dosięga, ale my znosić go musimy ciągle, boć, jak wiadomo, miłościwy monarcha upodobał sobie nasz Płock na wyniosłej górze i chętniej tam, aniżeli wśród was przebywa.

— Toć tylko powinniście z tej łaski monarszej być radzi — zawołał Maćko — im łatwiejszy dostęp do osoby książęcej, tem i o wymiar sprawiedliwości łatwiej, a nasz Władysław Herman to pan zacny i krzywdy ludzkiej nie łakomy.

Jarosz zaśmiał się głośno.

— Może to i prawda, co mówicie, aliści nam pan nasz wydaje się słabym. Opanowała go Judyta, opanował chciwy władzy Sieciech, czy zaś na krzywdę ludzką nie łakomy, to o tem dużo przysłoby gadać. A któż większą kiedy zrobił krzywdę własnemu dziecku, jeżeli nie nasz pan i władca? Kto odtrącił i w murach klasztornych zamknął prawowitego spadkobiercę, Zbigniewa? Ale ten Zbigniew żyje i opomni się o część swo-

ją a wtedy zdrzży Sieciech i zda ciężki rachunek z grzechów swoich.

Jarosz mówiłby pewnie dłużej jeszcze, zapalał się bowiem i wymachiwał ręką, gdy przy furcie rozległo się kołatanie i wszyscy oczy zwrócili ku bramie wjazdowej. Tym razem nie obawiano się otworzyć, nie była to bowiem noc ciemna i deszczowa, lecz dzień jasny, a słońce dość wysoko stanęło już na niebie,

W dziedziniec wjechał mąż postawy okazałej, o długiej, siwiejącej już brodzie, o oczach bystrych, przyodziany tak bogato, że blask bił z daleka i nakazywał cześć dla gościa. Koń przedziwnej maści gniadej z białą strzałką na łbie, pokryty był ogromną skórą danielą, na której lśniły nabijane drogiem kamieniami wzorzyste kółka i kreski. Po obu stronach zwieszały na pasach z misternej tkaniny głębokie strzemiona ze szczerzego srebra, a także same srebrne okucia przytrzymywały uździenice i łańcuszki, pobrzękując przy nozdrzach końskich. Odzież gościa tem samem odznaczała się bogactwem, opończą z lekkiej materii, suto obramowana kosztownymi naszyciami, rzemienie wygładzone podtrzymywały zgrabne sandały o sprzączkach srebrzystych, włos utrefiony, nawet nieodzowna pałka i topór, zdawały się z lepszego, niż u innych rycerzy wyrobionego drzewa. Za gościem, trzymając się w dość znacznym odstepie, wjeżdżało sześciu mężów, rosnących niby dęby, barczystych, krzepkich, stanowiących służbę.

Maćko zastąpił czoło ręką, ażeby blask słoneczny nie raził starych oczu i rzekł:

— Tak dworno trzech tylko ludzi zwykło u nas występować: Łuka z Kurnika, zwany także Górką, Jędrych z Bnina i Radoń z Borku. Jeżeli Radoń się pojawił, to...

Nie dokończył, wstał, szybko podszedł do Natana i zapytał:

— Czy rozumiałeś wtedy mrugnięcie moje?

— Zrozumiałem, wasza miłość.

— I uczyniłeś wszystko, co potrzeba?

— Ludzie moi stoją w pogotowiu, starosta z Gostynia przyciągnie też lada chwila, postawię go u niego.

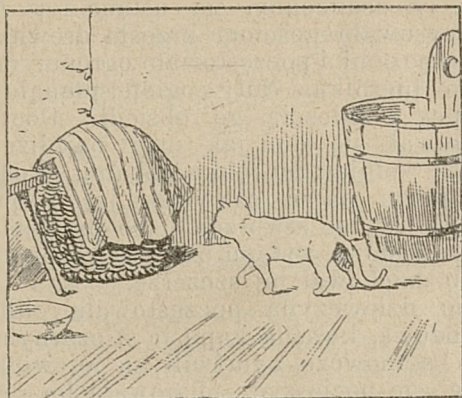
— To dobrze! Bóg snadź rozrządził, ażebyś tu pozostał dłużej pod Świętą Górą i ażebyś urwał łeb tym kno-waniom, które tu postanowiono rozpocząć na zgubę kraju. Bądź pewnym, Natanie, że tobie, co pierwszy wpadłeś na trop, nie zapomni monarcha nasz przysługi wyrządzonej.

(d. c. n.)

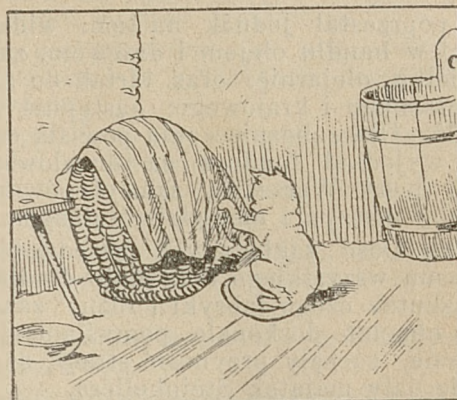


W wiejskiej chacie na Polesiu. — Przy kądzieli.

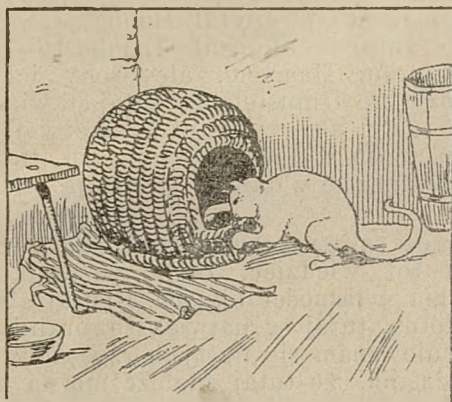
Ukazana ciekawość.



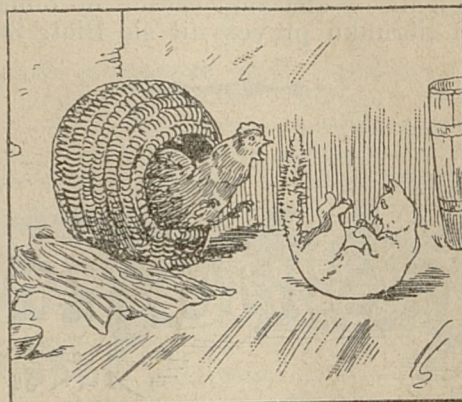
Mruczuś wielce jest ciekawy,
Pragnąc poznać wszelkie sprawy
Wkoło patrzy, strzyże uchem...
Dziś go w kuchni zaciekawił
Koszyk nakryty fartuchem.



Wszyscy kuchnię opuścili,
Mruczuś, korzystając z chwili,
Wielkiego udaje zucha.—
Przystąpiwszy do koszyka,
Ciągnie za koniec fartucha.



Ściągnął fartuch w oka mgnienie
Więc ufny w swe powodzenie,
(Gdyż znał treść tego pewnika.
Że śmiałemu szczęście sprzyja),
Sięga łapą w głąb koszyka.



Aż tu nagle jak nie skoczy
Z pazurami mu przed oczy,
Kura na jajkach siedząca —
Oj, najadł się Mruczuś strachu;
Popamięta z pół miesiąca!

Lach.

Piotr Steinkeller.

W pięćdziesiątą rocznicę zgonu.

Niejeden jeszcze zapewne z grona starszych mieszkańców Warszawy pamięta ruchliwą postać Piotra Steinkellera, odznaczającego się niezwykle, prawie olbrzymim wzrostem.

Urodził się synem kupca w Krakowie w r. 1799-ym W roku dwudziestym szóstym życia, odziedziczywszy po ojcu znaczny majątek, a nie znajdując w Krakowie odpowiedniego pola dla swej działalności, przeniósł się do Warszawy, gdzie założył dom handlowy i rozpoczął działalność przemysłową.

Obdarzony umysłem i charakterem energicznym, a przytem żądnym służenia krajowi, rzucił się całą si-

łą w najrozmaitsze przedsięwzięcia, widząc w nich dźwignię rzeczywistej pomysłowości rodaków.

W licznych swych podróżach po Europie zachodniej, wszędzie badał ciekawie nowe wynalazki i ulepszenia, zakładane przedsięwzięcia i fabryki, zawsze mając na celu przeszczepienie tego wszystkiego na własną ziemię.

Z każdej więc takiej wycieczki za granicę, wracał z mnóstwem najświetniejszych projektów, do których wykonania natychmiast się zabierał.

Nie mogąc tutaj wyliczać wszystkich pożytecznych dla ogółu przedsięwzięć Steinkellera, wspomnimy tylko o niektórych.

Dzięki zapoczątkowaniom jego powstała kolej Warszawsko-Wiedeńska; on również przyczynił się do rozwoju krajowego hutnictwa cynkowego; zbudował

w Warszawie olbrzymie śpichrze na 130,000 korcy zboża, zabezpieczywszy tym sposobem miasto od braku zboża w razie zmniejszonego dowozu; przez objęcie warszawskiego młyna parowego i wprowadzenie w nim rozlicznych ulepszeń—wpłynął na podniesienie przemysłu młynarskiego.

Nie poprzestał jednak na tem: widząc niepravidłowości w handlu olejem i drzewem, założył przy młynie wielką olejarnię, oraz tartak do cięcia drzewa zagranicznego i krajowego; następnie założył fabrykę kaffi. Dla zabezpieczenia powiśla od ciągłych zalewów, wyjednał fundusz na obwałowanie Wisły; prócz tego poza Warszawą założył również browar oraz fabrykę maszyn i narzędzi rolniczych.

Wielka ilość zakładanych przedsiębiorstw nie pozwalała mu wszystkiego dokładnie dopilnować osobiście, w skutek czego fabryki i różne zakłady przemysłowe, chociaż doskonale pomyślane i w życie wprowadzone, zaczęły przynosić straty, aż pochłonięły wreszcie cały majątek Steinkellera.

Przygnębiony niepowodzeniem usunął się do Krakowa i tam w roku 1854-ym w zmartwieniu i gorczy życia dokonał.

Działalność jednak jego i praca nad podniesieniem przemysłu rodzinnego kraju, nie zagięły bynajmniej bez śladu, owszem, przykład Steinkellera pobudził wielu do zajęcia się przemysłem i jeżeli dziś coraz więcej posiadamy fabryk i zakładów wytwórczych, to bezwątpienia w znacznej części do obudzenia ruchu w tym kierunku przyczynił się Piotr Steinkeller.



(Dalszy ciąg).

To też niema obawy, abyśmy do tego domu zapukali.

Za to dom następny wzbudzał zaufanie. Przy dwóch oknach, obwieszonych bielutkimi frankami, siedziało dwoje staruszków; pani robiła pończochę, pan palił fajkę.

W odpowiedzi na lekkie pukanie Piotra otworzyła się górna połowa drzwi wchodowych i ukazała się różowa twarzyczka podlotka.

— Czego panowie sobie życzą? — zapytano uprzejmie.

— Czy moglibyśmy rozgrzać się tutaj. Nie długo zabawimy.

Teraz i dolna połowa drzwi stanęła otworem.

— Proszę bardzo, wejdźcie panowie.

Chłopcy weszli. Każdy z nich starannie wytarł nogi o grubą słomiankę, uklonił się, jak mógł najuprzejmiej młodej gospodyni i staruszkom. Ci jednak

Sprostowanie: W skutek omyłki drukarskiej w N-rze 11-tym str. 86 po słowach:

— Nie wiedziałem — zauważył Dobs, — że flegmatyczni Holendrzy tak klócić się potrafią. Ależ krzyczą!

Opuszczono cały ustęp, który teraz zamieszczamy w należytem porządku, a niepotrzebnie wydrukowany okres powtarzamy we właściwym miejscu.

skinęli tylko głową i ani myśleli przerywać swego zajęcia, czy rozrywki dla niespodziewanych gości. To też Ben myślał przez chwilę, że ma przed sobą nie ludzi ale automaty. Dla czegożby automaty, opatrzone odpowiednią maszyneryą nie mogły palić fajki lub robić pończochę? Ale za to dziewczę żyło niewątpliwie. Z uśmiechem na ustach i w błękitnych oczach przysuwało gościom krzesła drewniane z wikami poręczami i poczęstowało ogromnym kawałkiem wyborowego piernika. Suty ogień płonął na kominku, chłopcy z radością go obsiedli, Poot szczególnie przysuwał się doń jak mógł najbliżej, grzejąc ręce okryte wełnianymi rękawiczkami. Podłotek zaręczył, że jeden palec rękawiczki jest rozpruty. Dobrze to było widać stworzenie, bo przysunęła się do niego Jakóba i bez słowa wstępu zaszyła rozprute miejsce.

Jakób dziękował jej szczerze.

Potem dziewczyna poczęstowała chłopców porządkiem narodową, kwaśną kapustą z czarnym chlebem, ale goście stanowczo odmówili ku jej wielkiemu zawiedzeniu. Aby się pocieszyć, ofiarowała im resztę pozostałego piernika, rzuciwszy przedtem porozumiewawczo spojrzenie na stronę żeńskiego automatu.

Chłopcy rozgrzani dostatecznie, podziękowali serdecznie dziewczynie za przyjęcie, skłonili się głęboko przed automatem i ruszyli dalej. Wkrótce dosięgli murów zamku Swanenburg.

— Przebyliśmy połowę drogi — zawołał Piotr — zdejmcie teraz łyżwy.

— Dla czego? — spytał Dobbs.

— Bo tutaj — objaśnił Lambert — łączy się rzeka z jeziorem Haarlem, ale wody ich nie są na jednym poziomie i musieliśmy tutaj stawiać niezmiernie mocne tamy, aby rzekę utrzymać w jej brzegach i nie dopuścić do wylewu. Szluzy są tutaj tak mądrze zbudowane, że z daleka zjeżdżają ludzie, aby je obejrzeć.

— Przez szluzy przejść na łyżwach nie można. Trzeba ci też wiedzieć, Benie, że woda w jeziorze Haarlem ma własności bielące. Tutaj bielą nasze sławne płótna, tutaj są największe pralnie holenderskie. Ale nie znam się na tych rzeczach; wiem zato z doświadczenia, że tutaj znaleźć można największe w świecie węgorze; nie raz łapałem je na wędkę; a tak są silne, że mogą ci całą wędkę w wodę wciągnąć, jeśli jej mocno nie trzymasz. Jeśli znów ciebie mało obchodzą węgorze, to przyjrzyj się zamkowi. Tu mieszka człowiek przez całą Holandję szanowany: sławny inżynier Beyerene. Dla nas bowiem inżynierowie są dobroczyńcami. Komuż zawdzięcza Holandia swoje istnienie w walce z morzem? Tylko inżynierom. Brunningsowi wzniesiono pomnik w katedrze haarlemskiej.

— Piękna to strona charakteru waszego narodu, że umie uczyć swoich wielkich ludzi — odparł Ben.

VII.

Katastrofa. — Janek.

Pierwsza po południu biła na zegarach, kiedy młodzieńcza nasza stanęła w mieście Haarlem. Pomimo przebiecia znacznej przestrzeni czuli się rzeźwi i do dalszej drogi gotowi. Od najmłodszego (Ludwik van Holp, lat czternaście), aż do najstarszego (kapitan Piotr, lat siedemnaście) wszyscy uznali, że bawią się wybornie. Coprawda, Jakóbowi temu czasem brakło i rad był, że już dotarli do Haarlemu. Nawet Karol ani jednego przykrego słowa nie wypowiedział dzisiaj. Ale najbardziej uszczęśliwionym wydawał się kapitan. Slizgając się po lodzie, śpiewał i gwizdał na przemiany tak wesoło, że najpoważniejsi panowie mijając go uśmiechali się zyczliwie.

— No, koledzy! pora drugiego śniadania już naszła. Tu jest restauracya. Trzeba nam teraz zjeść coś pożywniejszego od piernika naszej miłej gospo-
dyni.

Zanurzył ręce w kieszeniach, jakby chciał po-
wiedzieć:

— Dosyć tu pieniędzy dla wyżywienia całego
wojska.

— Ejże! kapitanie, co ci się stało? — zapytał
ambert.

Piotr pobladł nagle; z rozszerzonymi oczami
niepokojem przeszukiwał kieszenie.

— Co mu się stało? Chory jest! — wołał Ben.
Piotr otworzył usta jak ryba wyjęta z wody.

— Mój woreczek... nasza kasa, nasza kasa zni-
nęła! rzekł wreszcie.

Wszyscy stanęli jak wryci.

— Bo też był to pomysł bez sensu — zawołał
w chwili Karol — jednemu oddać wszystkie nasze
pieniądze! Od początku tak mówiłem. Przejrzyj je-
zcze kieszenie, Piotrze.

Kapitan posłusznie powtórzył bezowocne poszu-
kiwania.

— Niema pieniędzy! — mówił żałośnie. Niema
biadu, niema śniadania! Musimy wrócić. Gdybym
był w Amsterdamie, zaraz miałbym pieniądze, ale
Haarlemie nie znam żywej duszy, od której mógł-
bym grosz pożyczyć.

Może który z was ma krewnych lub bliższych
najomych w Haarlemie?

Chłopcy popatrzyli na siebie w milczeniu.

— Ja mam bardzo bogatych znajomych w tem
mieście — odezwał się Karol — ale ojciec ukarałby
mnie surowo, gdybym ośmielił się zaciągnąć u kogo
pożyczkę. Znacie godło naszego domu: „Uczciwy
złowiek nie robi długów”.

Hm! — mruknął Piotr, któremu to godło wcale
tuchy nie dodało.

— To moja wina — odezwał się ze skruchą Ja-
kób — ja pierwszy postawiłem wniosek: wszystkie
pieniądze do jednej kasy.

— Cóż znowu! to moja wina, że je zgubiłem —
wołał Piotr.

— Nie poszukujmy teraz winnego, ale pieniędzy,
przynajmniej bochenka chleba.

Słowa te wyrzekł Ben tak wesoło, że we wszy-
tkich raźniejszy duch wstąpił.

— Co? Co ty mówisz? Jaki masz pomysł? —
posypały się zapytania

— Nie mam takiego pomysłu, który możnaby
przygotować albo zjeść — zaśmiał się Ben — ale mó-
wię: nie mamy co zjeść, więc nie jedzmy. Jak nie
można, to nie potrzeba. Po świecie żyje tysiące
stot, które głodem przymierają. Bądźmyż filozofa-
ni, jak na dzielnych i znów nie tak bardzo wygło-
szonych chłopców przystało.

— I tylko tyle masz nam do powiedzenia? — za-
pytał Ludwik, nagłodniejszy z całego grona.

— Ile zgubiliśmy?

— Jest nas sześciu, każdy złożył po dziesięć
floreńów, a więc zgubiliśmy floreńów sześćdziesiąt —
mówił szybko Piotr. — Ach! jestem największym
głupcem, jakiego ziemia widziała. Wybiłbym się
chętnie.

— Wybij się — mruknął Karol — ale lepiej
sprzedałbyś swój zegarek.

— Mój zegarek! Nie, tego nie zrobię. Ojciec
mi go darował! Wolałbym sprzedać czapkę, ubranie,
łyżwy, ale zegarka nie ruszę.

— No, no! uspokójmy się — mówił pogodnie Ja-
kób. Doprawdy zbyt poważnie bierzemy tę całą

sprawę. Ben ma słusność, możemy teraz wrócić
o głodzie do domu i odłożyć wycieczkę na jutro.

— Łatwo ci tak mówić — mruknął Karol — bo
wiesz, że możesz jutro dostać znowu dziesięć flore-
nów. Ale mnie ich nie dadzą.

Na te słowa kapitan wybuchnął.
— Czy przypuszczasz, że nie oddam tego, co
zgubiłem? Oddam i to z własnych oszczędności, bez
pomocy rodziców.

— Przepraszam cię — rzekł niechętnie Karol,
a potem dodał opryskliwie:

— W każdym razie musimy wracać do domu
o głodzie, z nosem na kwintę.

— Możemy wrócić śpiewając, co będzie w na-
szym wieku i położeniu o wiele stosowniejsze —
rzekł Piotr.

— Słusznie mówi kapitan! — przytakiwał Ben. —
Wiwat kapitan Piotr.

— Wiwat! wiwat! — wykrzyknęli wszyscy z wy-
jątkiem Karola.

(d. c. n.)

Nasza encyklopedia.

(Zamieszcza objaśnienia wyrazów niezrozumiałych dla czytel-
ników „Wieczorów”).

Ekonomia polityczna czyli *gospodarstwo społeczne*,
w ogólnem znaczeniu stanowi naukę o tem, w jaki
sposób ludzkość gospodarować powinna, aby dobro-
byt osiągnęła. Nauka ta bada prawa i warunki, przy
których dobrobyt powstaje i niknie, oraz wskazuje
o ile on zależy od pracy i czynności człowieka; czyli,
inaczej mówiąc, nauka gospodarstwa społecznego jest
umiejętnością objaśniającą, jak ludzie siły swe je-
dnoczą, aby przyrodę uzdolnić do zaspokojenia ich
potrzeb, jak z takiego sił połączenia powstają pewne
owoce, jak te owoce czyli rezultaty pracy dzielą się
między jednostkami, warstwami społeczeństwa, naro-
dami, w jaki wreszcie sposób produkta bywają spo-
żywane i nowymi zamieniane.

Juta — nazwa włókien pewnego gatunku roślin,
rosnących w Indjach wschodnich i Chinach (*juta* pe-
chodzi od mongolskiego *chuti*). W Indjach z juty
wyrabiają powrozy i tkaniny. Do Europy zaczęto
sprowadzać ją około 1840 roku i zastosowano również
do wyrobu tkanin, mieszając jutę z wełną i bawełną.

Tkaniny jutowe używają się najczęściej na po-
krycia garniturów meblowych,

Koryfeusz — wyraz pochodzenia greckiego; u sta-
rożytnych koryfeuszem nazywano przewodcę chóru;
dziś miano to oznacza osobistość wybitną w nauce,
sztuce lub literaturze.

SZARADA REBUSOWA.

ul. Płocczanin.

Przyimek w literze
Dostarcza nam zwierzę.

ZAGADKA ARYTMETYCZNA.

podał Realista.

Jeżeli kto weźmie w rękę parzystą a w drugą nieparzy-
stą liczbę orzechów; w jaki sposób odgadnąć, w której ręce
trzyma ilość parzystą?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 9-go.

Łamigłówni wyrazowej: Matka, syn, brat, córka.

Zadania literowego: 1) Marek. 2) Motor. 3) Roman. 4) Kruki. 5) Manru. 6) Chart. 7) Bekas. 8) Szopa. 9) Proso. 10) Trema. 11) Tatry. 12) Szosa. 13) Bawół. 14) Neron. 15) Kurów. 16) Potop. 17) Maryś. 18) Tracz. 19) Marki.

Ostatnie i przedostatnie litery tych wyrazów tworzą wyrazy: **Konkurs pomysłowości.**

Odpowiedzi Redakcyi.

Kujawiakowi z nad Warty. Heraldyką nie zajmujemy się, więc na postawione pytanie odpowiedzi udzielić nie możemy.

Bolero A-mol podał miejsce zamieszkania, a nie dał swego nazwiska, do kogoż więc mają być karty adresowane?

Ta sama odpowiedź dotyczy **Wilka**, który również nie podał swego nazwiska, ani adresu.

Bronisławowi J., Warszawiakowi i innym zapytującym w sprawie konkursu rysunkowego i malarskiego odpowiadamy: 1-o rysunki winny być na zwykłym papierze rysunkowym dowolnego gatunku

2-o. Kto staje *tylko* do konkursu rysunkowego, ten tablicy kolorowanej nie potrzebuje wykonywać.

3-o. Stający do obydwóch konkursów obowiązani są nadesłać trzy prace: dwa pomalowane rysunki oraz kolorowaną tablicę.

4-o. Format rysunków dowolny, ale nie powinny być zbyt małe.

5-o. Kto chce, może nadesłać więcej prac, niż wymagają warunki konkursu.

Odpowiedzi działu zadaniowego.

Trafne rozwiązania zadań z ostatnich numerów nadesłał następujący czytelnicy i czytelniczki:

Lilijka, Zdziś Pieniązek, Nieznajoma 4-to klasistka, Wanda Roztropowiczówna, Ziunius Szlisko, Dyabełek, Żuczek, Genia Kleiberówna z Semibratska, Kropelka rosy, Władzia Bojarska, Litwin z nad Szeszupy, Mazur z nad Wisły. Stanisław Świrski z nad Oki, Stasia Szliskówna, Roza Weneda, Wilk.

Przyslij bez obawy swe zadanie, **Kropelko rosy**; jeżeli tylko będzie dobre, z pewnością zaliczymy je do druku.

Zadanie **Litwina z nad Szeszupy** nie jest złe, ale my wymagamy, aby w łamigłówkach tego rodzaju nie tylko początkowe, ale i końcowe litery miały jakieś znaczenie.

Zadanie **Konika Polnego** nie zostało zaliczone do druku.

Wymiana kart pocztowych.

(Za pozwoleniem rodziców lub opiekunów).

Stanisława Stecka (Kałusów, st. pocz. Włodzimierz Wołyński) życzy sobie korespondować z Nawojką z nad Huczwy.

Roman Roszkowski (Warszawa, Radzymińska nr. pragnie zamieniać karty ze Sztubakiem z Wilna, Figlarze Warszawskim, Orłem Czubatym, Orłem B. i Stasiem Skwronkiem.

Toncia Theodorowiczówna (Gradačac, Bośnia) życzy sobie korespondować z Marynią z Permu i Anus Szyszkówną.

Antosia Miłobędzka (Grodno, ul. Pocztowa) pragnie zamieniać karty z Różą bez kołców, Świtezianką i Choinką.

OGŁOSZENIA.

Szkoła Edwarda Rontalera z prawami szkół rządowych realnych składa się z klasy podwstępnej, wstępnej i 7 klas ogólnie kształcących. Do wstępnych klas przyjmowani są uczniowie od 8 do 11 lat, do klasy 1 od 10 do 13 lat. Nowy program szkoły jest do nabycia w księgarni Wendeg. w Warszawie, Krak.-Przed. 9. Egzaminu wstępne kandydatów nowowstępujących odbywają się w dwóch terminach: od 14 do 17 maja i od 4 do 9 września nowego stylu. Prośbę przyjmuje kancelarya szkoły w Warszawie, ul. Kaliksta 6.

2. **Kursa agronomiczne** 3-letnie, z prawami szkół rządowych, na które przyjmowani są bez egzaminu uczniowie kończący cztery klasy szkół komercyjnych lub realnych rządowych. Uczniowie gimnazjum, promowani do klasy 4 mogą wstąpić na pierwszy kurs z dodatkowym egzaminem z języków nowożytnych i fizyki. Uczniowie szkół prywatnych muszą zdać egzamin z wszystkich przedmiotów podług programu czterech klas szkoły komercyjnej.

3. **Szkoła handlowa** 3 klasowa, z klasą przygotowawczą, z prawami szkół rządowych dla uczniów bez różnic wyznania, ul. Foksal 14.

Przegląd Pedagogiczny,

Dwutygodnik poświęcony wychowaniu szkolnemu i domowemu

Niezbędny zwłaszcza dla matek i nauczycieli domowych.

Prenumerata kwartalna: w Warszawie **rub. 1,50**; z przesyłką pocztową **rub. 1,75.**

Administracja: w księgarni **M. ARCTA,**

Nowy Świat 53.

5-2

Do niniejszego numeru dołącza się ogłoszenie o pensjonacie kuracyjnym p. Dobrowolskiej w Zakopanem.

Przypominamy o wczesnem **ODNOWIENIU PRENUMERATY** na kwartał II dla uniknienia zwłoki w przesyłce pisma.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośnieniem do domu **rub. 4**, z przesyłką pocztową **rub. 5** — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie **kop. 35.**

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — **12 kop.**

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10.**

TREŚĆ: Zorza północna (z ryc.). — Pod mikroskopem (z ryc.). — Psie pole, powieść Włodzimierza Trąmpczyńskiego. — W wiejskiej chacie na Polesiu (ryc.). — Ukarana choiwość (z ryc.). — Steinkeller. — Srebrne łyżwy przekład A. M. — Nasza encyklopedia. — Łamigłówni i rozwiązania. — **Dodatek:** Dary, przekł. M G. (z ryc.). — Na konkurs, wiersz przez Radę. — Wielka nowina, komedyjka w jednym akcie (dokończenie). — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Obowiązek, powieść dla młodzieży przez Julię Piasecką.

Redaktorka **Ludwika Hauke.** Дозволено Цензурою. Варшава 28 Февраля 1904 г. Wydawczynie **Marya z Chomętowskich Balińska.**

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.

DARZY.

przełożyła z angielskiego
M. G.

(Dalszy ciąg).

Wyjęła kilka garści złota i schowała je w wypróchniałym pniu grabowego drzewa.

— Jakie one żółte i okrągłe! Czybyście nie chcieli, żeby to były złożone pierniki i żeby je można było zjeść?

— Nie są pierniki, i nie będą piernikami! — odpowiedział zniecierpliwiony Cyryl. — Chodź prędzej!

Ale szli coraz wolniej i ciężiej. Zanim doszli do wsi, w niejednym wypróchniałym pniu po drodze zostawiali część swych skarbów. Donieśli jednak do wsi około tysiąca dwustu gwinei w kieszeniach. Ale pomimo tego wewnętrznego bogactwa, na zewnątrz wyglądali zupełnie zwyczajnie i niktby nie posądził, że mają przy sobie więcej nad kilka szylingów *) każde. Rozgrzane upałem powietrze i niebieskawy dym z drzewa unosiły się nad czerwonymi dachami wioski. Cała czwórka dzieci usiadła ciężko na pierwszej ławie, stojącej na ulicy. Było to przy zajezdzie „Pod Wielkim Dzikim.”

Postanowiono, że Cyryl wejdzie do zajazdu i kupi jałowcowego piwa, ponieważ jak Antea powiedziała: „mężczyźni mogą chodzić do piwiarni, ale dzieci nie.”

Więc Cyryl poszedł. Reszta usiadła na ławie, w słońcu, i czekała.

— O! jaki upał! — wyrzekł Robert. — Psy wyciągają języki, kiedy im gorąco. Możeby to i nas ochłodziło trochę?

— Spróbujmy — zaproponowała Kizia.

Wysunęli wszyscy języki, jak mogli najdalej, prawie do końca brody: ale to tylko zwiększyło pragnienie a prócz tego obrażało wszystkich przechodniów. Więc dzieci schowały języki, gdy się ukazał Cyryl z jałowcowym piwem.

— Musiałem zapłacić za nie własnymi mojemu sąsiadzi pensami, **) które miałem na kupno królików — powiedział. — Nie chcieli mi zmienić złota, a kiedy wydobyłem całą garść, gospodarz zaczął się śmiać i powiedział, że to są marki do gry. Kupiłem też kilka ciastek, które leżały w oszklonej szafce na koniutuarze i trochę biszkoptów z kminkiem.

Ciastka były słodkie i suche, biszkopty także były suche a jednak miękkie, jak biszkopty być nie

*) Szyling około 50 kop. **) Pens — 1/12 szylinga, około 4 kop.

powinny. Ale jałowcowe piwo wszystko to załago-dziło.

— Teraz na mnie kolej kupienia czegoś za moje pieniądze — odezwała się Antea. Jestem druga z kolei. Gdzie jest wózek i kucyk?

Były u Checkersów i Antea weszła przez boczną uliczkę na podwórze, a po chwili wyszła „zadowolona, ale wcale nie dumna” jak sama powiedziała.

— Wózek będzie gotowy za chwilę, gospodarz mi powiedział, ale żąda całego suwerena za jazdę do Rochester i zaczekanie na nas, dopóki nie załatwimy sprawunków. Zdaje mi się, że dobrze się sprawiłam?

— Zdaje ci się, żeś bardzo mądra — powiedział Cyryl z dąsem. — Jakim sposobem udało ci się?



Wysunęli wszyscy języki, jak mogli najdalej.

— Nie byłam taka mądra, żeby wyjąć całą garść złota z kieszeni, jakby to były marki od gry — odcięła się Antea. — Zastałam tam jakiegoś chłopca, który coś robił z gąbką i wiadrzem kolo nóg konia, wydobyłam suwerena i zapytałam: „Czy wiecie, co to jest?” A on powiada: „Wiem” i zawołał ojca. Ojciec przyszedł i powiedział, że to jest gwinea z pikiem i zapytał: „Czy to moja własna i czy mogę z nią robić, co mi się podoba: „Tak.” I poprosiłam o wózek z kucykiem i powiedziałam, że dostanie

gwineę, jeżeli nas zawiezie do Rochester, a on powiedział na to: Zgoda!”

Było to zupełnie nowem uczuciem dla dzieci jeżdżących ładnym wózkiem zaprzężonym w kucyka, po równym gościńcu, w ładnej okolicy. Było to uczucie bardzo miłe (co nie zawsze chodzi w parze z nowością), nie mówiąc już o pięknych planach zużytkowania pieniędzy, które dzieci układały wśród drogi — w milczeniu naturalnie, w głębi duszy, bo czuły, że nie można właściciela wózka wtajemniczać w to, co miały na myśli. Gospodarz na żądanie dzieci wysadził je przy moście.

— Gdybyście chcieli kupić konie i powóz, dokądbyście poszli? — zapytał Cyryl od niechcenia, byle coś powiedzieć.

— Do Billa pod *Głową Saracena* — odpowiedział bez wahania właściciel wózka. — Niech mnie Bóg broni, żebym miał polecać kogokolwiek bądź, kiedy chodzi o konie, tak samo nie słuchałbym żadnych rad, gdybym sam kupował. Ale jeżeli wasz papa myśli o kupnie koni, niema w całym Rochester człowieka pewniejszego ani grzeczniejszego od Billa, szczerze mówię.

— Dziękuję — odpowiedział Cyryl. Więc pod *Głową Saracena*?

Teraz dzieci miały się przekonać, że zmieniła się zwykła kolej rzeczy, i jedno ze znanych praw stanęło do góry nogami. Zawsze dorośli ludzie mówią dzieciom, że pieniądze trudno zarobić, ale łatwo wydać. Tymczasem pieniądze piaskoludka przyszły im łatwo — ale wydać je było trudno, a nawet niepodobna. Kupcy w Rochester cofali się od układów na widok błyszczących sztuk złota. Na początek Antea, która miała tego dnia niemiłą przygodę, bo usiadła na własnym kapeluszu, chciała kupić nowy. Wybrała bardzo ładny, ubrany różowemi różami i niebieskiemi sztykami pawi. Wystawiony był w oknie z napisem:

„*Paryski model, trzy gwinee.*”

— Bardzo się cieszę — powiedziała, — że cena naznaczona na gwinee, nie na suwereny, których nie mamy.

Ale gdy wzięła trzy swoje gwinee do ręki — mocno brudnej skutkiem tego, że idąc do kopalni piasku nie włożyła rękawiczek — młoda panna w czarnych jedwabiach, sprzedająca kapelusze, spojrzała na nią bardzo surowo, odeszła i szepnęła coś starszej osobie, ubranej także w czarne jedwabie, poczem oddała Antei pieniądze, mówiąc, że to nie jest moneta mająca kurs w kraju.

— To są dobre pieniądze, a na tym kapeluszu jest napisane, że kosztuje trzy gwinee — tłumaczyła Antea. — Pieniądze są moje własne.

— Może być — odpowiedziała panna sklepowa — ale to jest moneta, która teraz nie jest w obiegu i nie chcemy jej przyjmować.

(d. c. n.)

Na konkurs.

Siostrzyczki kochane! Wesołe nowinki!
Niech każda czempredziej arkusik swój poda,
Liniuję dla siebie, dla Jadzi, Halinki —
Jest konkurs w „Wieczorach” — za pismo — nagroda!
Hej, zwawo za pióra! Pójdź „Żaczku warszawski”,
Powtarzać cię będzie gromadka niełada,
Siadamy przy stole i... patrz „kto ciekawski”
Piszemy tu sobie co „Żaczek” powiada. —
— Pracują dzieciaki... a tęga ich mina:
Oczęta błyszczące, powaga na czole —
I Jadzia, leniuszek, uważać zaczyna.
Wiersz kreśli za wierszem — pracuje w mozole. —
... Skończyły nareszcie. — Paluszki zwałane,
Włos cały w nieładzie; lecz czasu nie szkoda.
— No, osądź, mateczko, czy pismo udane,
Za pracę, uwagę, czy będzie nagroda?
Matusia ogląda: — Niczego, niczego,
Halinki, Karolka ocenią staranie.
Lecz Jadzi arkusik do tego daleko!
Czyż pójdzie na konkurs to krzywe bazgranie! —
... — Mateczko, doprawdy, że lepiej nie mogę!
Pisałam uważnie, starałam się szczerze,
Wszak „chęć to uczynek”, pamiętam przestrożę,
Tymczasem gryzmolę, aż rozpacz mię bierze! —

* * *
— A widzisz, Jadziuniu, trza było rok cały
Tak pisać powoli, bez kleksów, bez zmyłki,
Dzień jeden starania da skutek za mały —
Zaniechaj konkursu, bo próżne wysiłki!
Lecz nie martw się, córuś, nie pora na żale,
Już odtąd z pilnością do pracy zasiędziesz.
Co rok wszak konkurs: więc pracuj wytrwale
Coś dzisiaj straciła — w przyszłości zdobędziesz! —

Rada.

WIELKA NOWINA!

KOMEDYJKA W JEDNYM AKCIE.

(Dokończenie).

SCENA IV.

Ciż sami — Marynia.

Marynia (*lat 15 w sukience prawie do ziemi — wbiega z otwartym listem w ręku*). Cieszcie się! cieszcie się! (*sposstrzeża płaczącego Tadzia i nieład w pokoju*). A to co? Tadzio płacze! — co się tu działo?

Tadzio (*biegnie do Maryni z płaczem*). Bo ja nie pójdę do tej szkoły! ja nie pójdę!

Marynia. Do jakiej szkoły? o czem ty mówisz, Tadzieńku?

Tadzio (*przez łzy*). A do tej prawdziwej szkoły, bo tam pan profesor ciągle się gniewa i ja dostałem jakąś pałkę... i mam iść do kozy... — a ten chłopiec co się ma nazywać Dureński, ciągle mnie kułakiem szturchał i kazał podpowiadać, a pan profesor powiada, że nie wolno i ja mam klęczeć w kącie...

Marynia. Ależ Tadzieńku, co ty pleciesz o jakimś Dureńskim, o kozie — zupełnie nie rozumiem,

o co tu idzie — może kto ze starszych wytłumaczy mi? (*patrzy na rodzeństwo*).

Wandzia. Bo to Staś powiedział, że mama napisała, żeby Tadzika zapisać do szkoły, więc chcieliśmy przygotować go...

Marynia. A, pięknieście go przygotowali — nie ma co mówić!

Janek. Eh, bo on taki mazgaj — nie warto się nim zajmować — przecież to wszystko były żarty. Mógł wiedzieć, że profesor w szkole tak nie krzyczy o byle co i nie każe klęczeć w kącie.

Marynia. Skądże on to mógł wiedzieć, gdy nigdy jeszcze w szkole nie był, i przytem jest mały, więc nie rozumie takich niemądrych żartów. Jeżeliście chcieli przygotować go do szkoły — choć was o to nikt nie prosił — to trzeba było przedstawić mu tę szkołę taką, jaką jest naprawdę, aby wzbudzić w nim ochotę uczęszczania do niej i pilnego uczenia się. Wy tymczasem, zaczęliście mu tą szkołą dokucać, aby dziecko nastraszyć i zniechęcić.

Stasio. Och, wielka historia! w poniedziałek pójdzie do szkoły, to się sam przekona, czy tam źle, czy dobrze.

Tadzio. Nie, nie — nie pójdę. Prawda Maryniu, że nie? (*tuli się do Maryni*).

Marynia. Cicho Tadzieńku, zaraz się dowiesz. (*Do rodzeństwa*). Przedewszystkiem, powiedzcie mi, skąd macie wiadomość, że Tadzio ma być zapisany do szkoły.

Wandzia. Przecież ci to mama pisała.

Janek. Stasio sam czytał..

Marynia. Doprawdy? to szczególne, że ja tego wcale nie wyczytałam.

Stasio. Jakto? W liście było dwa razy Tadzio — była to jakaś nowina, którą tatce do biura przesłałaś,

Marynia. Była nowina, ale zupełnie inna i nawet bardzo dla was zajmująca.

Dzieci (razem). Co takiego? powiedz!

Marynia. Ale mama pisze: „Jeśli dzieci są grzeczne, to im powiedz” — a wy tymczasem wcale byliście grzeczni.

Dzieci (j. w.) Jakto? dla czego?

Marynia. Najpierw Staś zaglądał do cudzego u, co mu się wcale nie chwali..

Stasio. Eh! to tylko przypadkiem.

Marynia. Tylko? — dalej dla niemądrej zabawy drażniliście młodszego braciszka.

Tadzio. Ja już nie rozdrażniony — powiedz mo-Maryniu, tę nowinę!

Janek. Powiedz Maryniu, nie droż się — przecież to wszystko były żarty, prawda, że trochę niemą, ale to koniec wakacji, a myśmy się tak nudzili, już nie wiedzieliśmy, co wymyśleć.

Marynia. Już dobrze, zgoda! Mama pisze, że wala, abyśmy jutro rano wszyscy razem pojechali babci — a Tadzio może tam zostać cały następny dzień, bo jeszcze maleńki, a zresztą uczy się tak rze, że może mieć o tydzień dłuższe wakacje.

Stasio (wesolo) Wiwat! jedziemy do babci! to mi iero nowina!

Wandzia. Nie taka jak te twoje „z własnego drutu” wiadomości o piekarzu, piekarzu i ogniu kornowym.

Janek. I o szkole, do której rodzice jeszcze ani myślą zapisywać Tadzia.

Marynia. W tym roku jeszcze nie — ale mam nadzieję, że do przyszłego roku Tadzio nabierze tyle rozumu, że już nie będzie się bał szkoły, i nie uwierzy podobnym niemądrym konceptom.

Janek. Bądź spokojna, Maryniu — to przede-wszystkiem my nabierzemy rozumu i już nigdy tak niemądrze, bawić się nie będziemy. Od dzisiaj obie-cuję stać się wzorowym starszym braciszkiem.

Stasio. I ja.

Wandzia. I ja!..

Marynia (śmiejąc się). No, ty trochę za wiele obiecujesz, bo starszym braciszkiem nigdy nie będziesz. Ale teraz chodźmy zabierać się do jutrzejszej wycieczki, bo o siódmej rano mamy już być na kolei.

Wszyscy (razem — Tadzio najgłośniejsze klaszcząc w ręce). Wyjedziemy ze Lwowa. Na wycieczkę, na wycieczkę! Wiwat! (*wybiegają*).

(*Zasłona spada*).

ŁAMIGŁÓWKA W TRÓJKĄCIE.

uł. Biała Prymulka.

| | | | | | | |
|---|---|---|---|---|---|--|
| 1 | 2 | 3 | 4 | 5 | 6 | Miejsca oznaczone liczbami i gwiazd- |
| 2 | * | * | * | * | | kami zastąpić należy literami w ten |
| 3 | * | * | * | | | sposób, aby złożyły sześć następujących |
| 4 | * | * | | | | wyrazów: 1) Miasto w Austrii. 2) Rzeka |
| 5 | * | | | | | w Azji. 3) Wulkan w Europie. 4) Gatunek psa. |
| 6 | | | | | | 5) Pseudonim współczesnego poety. 6) Spółgłoska. |

Litery stojące na miejscach liczb utworzą nazwę miasta w Austrii

FIGIEL.

Błękitna Chmurka dla Niebieskiej Perełki.

W pokoju było **coś** i **nie**, coś wyszło oknem, a nie drzwiami; co się zostało w pokoju?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 9-go.

Łamigłówniki literowo-zegarowej:

Litery składają imię i nazwisko — Józef Szujski.

Skrzynka do listów.

Wiecie, co wam powiem? Oto nietylko „Wieczory”, ale my w naszym kółku mamy prawo obchodzić jubileusz. Nie żartuję. Jubileusz dwóchsetnego członka, który w tej właśnie skrzynce dopełnił okrągłej liczby 200 korespondentów Jaskółki w r. b. Wiwat nasze grono! Pomyślcie, niech każdy z tego grona spełni dobry uczynek, ileż serc ucieszy się jego postępkami. Wszak przyrzekacie mi, prawda, iść zawsze zgodnie razem i wziąć sobie za hasło: postęp w dobrem, wytrwałość, sumienne pełnienie obowiązków? Do roboty zatem gromado Jaskółcza! Niech moje pisklęta przysparzają sławy naszemu kochanemu pismu i niech po wszystkich zakątkach kraju pracują z tą świadomością, że pracę ich i uczucia dzieli tyle serc młodzieńczych.

Mam już w swoim gronie **Leśną Poziomkę**, trzeba więc, aby bardzo miła korespondentka z Częstochowy wybrała inny pseudonim.

Niezapominajkę z Sekuły i Bystrego Sokoła proszę o dłuższe listy, na liniowanym papierze pisane.

Wielkiemu Łobuzowi dziękuję za śliczne i wyraźne pismo, Jaskółka niepotrafi tak starannie jak ty kreślić literki, ale też twoje zaszczyt przynoszą pilnemu uczniowi i jego nauczycielce. **Małpeczkę** serdecznie pozdrawiam.

Proszę Boga, **Czarny Bratku**, o zdrowie dla twej mateczki, a ciebie pieścę za to, że chcesz rosnąć pod moim oknem. Konkurs pomysłowości już skończony, łamigłówkę jednak przyslij, jeśli okaże się dobrą, redakcja chętnie ją umieści.

Wyłowiałam w skrzynce **Czarną Perelkę** i witam ją serdecznie w naszym gronie. Że jednak perły winny być bez skazy, radzę ci Perelko pisać wyraz *szósty* przez *ó*.

Przypłynęła do nas na skrzydłach wiatru **Błękitna Chmurka**, a ja tę Chmurkę zatrzymałam skwapliwie jaskółczym skrzydełkiem i znajomość zaczynam od dobrej rady. Nie szukaj w książkach powinszowań dla przełożonej Chmurko, bo najmilszym będzie jej to, które z własnej myśli i serca wysnujesz.

Mylisz się, **Powisłanko**, na wasze listy odpisuję natychmiast, tylko wydrukowanie numeru zabiera wiele czasu. A kiedyż od Małopolanki list odbiorę. Dużo tam u was podobno powstaje spółek włościańskich, które mnie cieszą, bo uczą nasz lud radzić sobie w biedzie. Do Radomia przywożą już włościanie masło śmietankowe ze spółkowej mleczarni, a słyszałam i o sklepach spółkowych po wsiach.

Znam Janowiec i Kazimierz, **Sandomierska Wieśniaczko**.

Należność za książka odeślij, **Pierwiosku**, markami w liście do redakcyi, mnie zaś donieś, czy nie bliskim ci jest czasem redaktor Encyklopedyi staropolskiej. Prześliczne to dzieło, znasz je pewnie Pierwiosku.

„Jak chcę, to mogę bardzo ładnie pisać, a jak nie chcę, to bazgrzę jak kura” Nie wierzę oczom, czyżby moja kochana **Złota Gwiazdka** miewała doprawdy takie kaprysy? Trzeba, Gwiazdko, *zawsze chcieć dobrze robić to, co robimy*. A dobrą być umiesz i za to cię kocham. Gwiazdka radzi oddawać wszystkie stare metale doktorowi Rychlińskiemu Widok 7, gdyż za te bezwartościowe dla nas przedmioty, chce on budować szpital dla biednych obłąkanych.

Nie odebrałam twego listu, **Wajdelotko** kochana, i byłam nawet niespokojna o jedną z najmilszych korespondentek, a ty mnie posądzasz, że zapominam was, staruszki. Czy się to godzi? czy Jaskółka zasługuje na taki zarzut? Fotografia zrobiła mi wielką przyjemność. W okolicach Sandomierza chłopcy więcej przebierają się także za konia lub kozę, mało wiedzieć, że zwyczaj ten zachował lud i u was.

Nie będziesz **Choinką** Reniu T., bo mam już korespondentkę używającą tego pseudonimu. A może jesteś siostrą Amundsena? Napisz prędko, tymczasem zaś na zadatek milej znajomości wyciągam do ciebie łapkę i kiwam uprzejmie dziobkiem.

Czy myślisz, że przestraszyłam się ciebie **Dyabelku**? wcale nie. Sądząc z pierwszego listu starannością pisma i dowcipem zasługujesz na zyczliwe przyjęcie, gdybyś zaś kiedy pokazał rożki, Jaskółka spróbuje zażegnać zło, a obudzić dobre w tobie uczucia.

Witam cię, **Wiosenko**, któżby też wiosenki nie pragnął. Wieczory będą drukowały powieść autorki, o którą pytasz. Pozdrów ode mnie Syrenę i Niebieską Perelkę.

Byłabym chętnie pofrunęła do ciebie, **Skowroneczku z nad Wilii**, ale mróz na dworze, wszak ty także nie śpiewasz jeszcze, więc i Jaskółka musi czekać wiosny, a tymcza-

sem z daleka przesyła ci pozdrowienie i pyta, jakie imię wybrałaś dla laleczki.

Wielką radość sprawiłaś mi, **Tesiu z Malin**, przysłaś mi fotografię. Zdaje mi się, że znam was wszystkich, zwłaszcza **Dudusia**, którego ilustracyi bardzo jestem ciekawa. Pomysł bajki doskonały, trzeba tylko pracować nad lepszą formą wiersza. Piszesz starannie, radzę ci więc należeć do konkursu kaligrafii, a pamiętaj nie skąpić atramentu dla litery *k*, bo ją skrucasz niepotrzebnie.

O to samo skąpstwo posądzam kochaną **Gospozię**. Dziękuję tobie i szanownej twej mamie za pamięć o mnie, ale jak będziesz bez litości dla biednej litery *k*, to gotowa jestem spróbować się z tobą na pazurki.

Ucieszyłeś mnie, **Koniku Polny**, wiadomością o polepszeniu zdrowia waszego ojca. Co zaś do wyboru psa, to najlepszą radę da ci pewnie wujaszek z Kurowa. A może wolałbyś wychowywać inne jakie zwierzę? Czytałam teraz, że w Paryżu lamparcica imieniem Kora obroniła swego pana od napadu jaguara, przyczem sama odniosła ranę, która tak się zaogniła, że musiano operować biedną pacjentkę. Kora zniosła ból cierpliwie, a jej pan nie rozłącza się z nią nigdy przez wdzięczność za ocalone życie. Łamigłówkę przyslij do redakcyi.

Piwonijka to też nowa a bardzo miła korespondentka. Konkurs na roboty będzie latem ogłoszony. Kto tak starannie pisze jak ty, Piwonijko, ten pewnie i szyć ładnie potrafi. O marki proszę.

Poetycznie miuczysz, **Augorska Kotko**, należałaby ci się rymowana odpowiedź, nie z tego jednak, nie mnie Jaskółce iść w zapasy z kotkami, wolę skarbić twoje względy donosząc ci, że życzenie twoje spełnione: redakcja ogłosiła już konkurs na rysunki. Ostrz więc pazurki, Kotko, ale nie na mnie, tylko na nagrodę, sądząc z ilustracyi listu, zdobdziesz ją łatwo. Szkoda, że tak daleko przebywasz, mamy teraz w Warszawie bardzo ciekawą wystawę obrazów, radzę ją zwiedzić wszystkim moim pisklątom, a tembardziej radziłabym to tobie, Kotko, bo masz zdolności do rysunku. A czy wiesz, że koło artystek polskich w Krakowie ogłosiło konkurs na wzory tkanin, haftów, kilimków i patrony do malowania ścian. Spróbuj ubiegać się o nagrodę, mnie byłaby ona miłsza od wielu innych, bo pomagać do rozwoju przemysłu jest wielką zasługą.

Zostawiłam na koniec list **Ormianki z Bośni**, żeby zapoznać z jego treścią całą naszą gromadkę. Ormianka urodziła się w Bośni, dzieli ona swe uczucia między dwie ojczyzny i jest bardzo do obydwóch przywiązana. W ostatnim liście opowiada o tureckim święcie zwanem „kurban bajram”. Trwa ono 4 dni — pisze Ormianka — Turcy zarzynają po kilka baranów, za każdą zmarłą osobę jednego barana, jedzą sami do syta, a resztę mięsa rozdają ubogim. Kuchnia turecka jest niestrawna, bo gotują na łożu i tłusto, wina niewolno im pić, ale wódkę i piwo niektórzy piją chętnie, najchętniej zaś czarną kawę. Aby się niebardzo spracować, otaczają się liczną służbą, lubią konie, wyścigi psy, żywe kolory i duże rozkwitłe kwiaty. Dziewczeta mają włosy pomalowane na rudo, a mężatki na czarno. Ja się tu już przyzwyczaiłam, bardzobym jednak chciała mieszkać na wsi, uczyć dziewczęta czytać i leczyć chorych.

Kochana Ormianko, całym sercem pragnę, aby spełnie nie twych marzeń zbliżyło cię do twoich stron rodzinnych i

Jaskółki.



NOWE KSIĄŻKI.

Wanda Młodnicka. *Stare Baśnie*, opowiedziane nowo dla grzecznych dzieci z kolorowymi obrazkami.